



ALEKSANDER SOWA

GÓRA BOGÓW ŚMIERCI

JEŚLI WIDAĆ ŚWIATŁO, MUSI ISTNIEĆ CIEŃ

GÓRA BOGÓW ŚMIERCI

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2015

Okladka: Aleksander Sowa & Sabina Sagan

Zdjęcia: Aleksander Sowa

Konsultacja niemieckojęzyczna: Sabina Sagan

Redakcja: eKorekta24.pl

Korekta: Bożena i Janusz Sigismund

ISBN: 978-83-272-4504-5

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, marzec 2015 r.

1.

Nagle coś się wylania ze śnieżycy. Samochód hamuje, lecz nic to nie daje: słychać głucho uderzenie. „Boże – myśli kierowca, wyskakując z wozu – zabiłem kogoś!”.

– Jak się pani czuje? Jest pani ranna? – przekrzykuje zadymkę. – Wezwać pomoc? Pogotowie? – krzyczy do wstającej staruszki.

– A cholera by cię wzięła, wariacie jeden!

– Może zadzwonić po karetkę?

– Diabli z karetką! Nie trza jeździć jak wariat! Mówię, że nic mi nie jest!

– A pani co, do cholery? – wrzeszczy kierowca. – Żeby w taką śnieżycę środkiem drogi lazić! Życie pani niemiłe?

Powietrze jest lodowate, a na linii energetycznej gwizdże wiatr. Kobieta rzuca Jakubowi wściekle spojrzenie. Jest chuda, niziutka, twarz opatulila chustką, zawiązaną pod brodą. On wsiada do samochodu, trzaskając drzwiami. Wyjmuje spod koszuli srebrny krzyż na łańcuszku.

– Dzięki ci, Panie – szepcze, całując go. – Dzięki.

Staruszka nie rusza się z miejsca. Patrzy błyszczącymi z zaciekawienia oczami. Uśmiecha się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Jakub opuszcza szybę. Do wnętrza wdiera się chłód.

– Podrzucić panią?

– A gdzież pan tak pędzi?

– Do hotelu Korona! Wie pani, gdzie to?

– A co bym nie wiedziała? Tutejsza jestem. Drogę pan zmylił. Trza było zjechać, tutaj droga już na Złoty Stok.

Kobieta gramoli się do samochodu. W jej wzroku jest coś niezwykłego. Zmarszczki wokół jej ust rozchodzą się promieniście. Twarz zniszczona, lecz oczy błyszczą jak ognie. Śnieżycy chyba się wzmacza, wiatr zawodzi głośniejsze.

– Chodnika pani nie ma!?

– Tu musi pan skrócić.

– Może do lekarza zawiozę? Obejrzy panią.

– Nie trza. Jeszcze trochę i mnie też przyjdzie się żegnać z życiem.

– Tego pani wiedzieć nie może.

– Mogę. Wiem więcej niż ci się zdaje, synku.

Jakub słyszy przez śnieżycę wycie syreny. Rozgląda się i jest prawie pewien, że na drodze, z której zjechał zgodnie z sugestią starej, przed chwilą widział niebieskie światła.

– To nie znaczy, że trzeba śmierci w szpony leżać – mówi.

– Widziałam ją, jak każdą inną normalną rzecz. Nie boję się.

Jakub spogląda na starą, ale jej oczy są bez wyrazu, puste, jak gdyby nie należały do żywego człowieka. Kundel na jej kolanach szczerzy kły. Mężczyzna wytęży wzrok, lecz otacza ich tylko ciemność. Widzi jedynie śnieg, wirujący w szaleńczym pędzie. „W taką pogodę wszystko się może przytrafić” – myśli.

– Daleko jeszcze?

– Ano, dobrze pan jedzie. Tutaj mnie pan wysadzi. Prawie jesteśmy – kobieta wskazuje budynek. – Tam na rogu, widzi?

Jakub odwraca wzrok. Staruszka wysiada. W śnieżycy majaczy zarys poniemieckiego budynku. Nad wejściem miga nadpalony czerwony neon. Nieznajoma nachyla się do okna. Pies warczy głośno.

– Wiesz, że jeszcze możesz zawrócić?

– Na pewno nic pani nie jest?

– Więc jedzie pan...? – stara kiwa głową z dziwnym wyrazem twarzy. – To niech pan jedzie. Tamten też jechał. No, ale pan może wróci – dodaje, machając ręką, i niemal natychmiast znika.

„Jakaś wariatka” – myśli Jakub, parkując przed hotelem. Gdy wysiada, czuje, jak wiatr słabnie. Ogarnia go chłód. Postawiwszy kolnierz, mężczyzna spogląda na lewy nadgarstek.

2.

Kiedy zegar odmierza ostatni z siedmiu dzwonek, dziewczyna przed lustrem z niezadowoleniem zauważa kropkę powyżej lewej, starannie wyregulowanej brwi. Otwierają się drzwi. Wraz z przybyszem wdziera się zawodzenie wiatru. Iza wita gościa.

– Strasznie wieje. A wie pani, że dopiero tutaj się to zaczyna? – zagaduje on, odstawiając bagaż pod ścianę. – Za Nysą jeszcze piękna pogoda. Jak na kwiecień, rzecz jasna.

– Normalne. Tutaj zawsze tak jest, proszę pana.

Pogoda jej nie obchodzi. „Cholera – myśli – musiał przyjechać akurat teraz”. Będzie musiała z nim gadać, aż Paula wróci z wymienionym tamponem.

– To wszystko przez góry, no nie?

Jakub nie mógł wybrać daty wizyty, lecz miał nadzieję na łaskawszą pogodę. Kto by się spodziewał śnieżycy, jeśli od dwóch tygodni dogrzewało słońce, śpiewały ptaki i zewsząd czuć było wiosnę?

– Hm – chrząka, rozglądając się. – Miałem rezerwację na dzisiaj.

– Domyśliłam się, kim pan jest.

Szczupły, wysoki, nawet przystojny. Okulary w srebrnych oprawkach odrobinę go postarzają, lecz są świetnie dobrane. Wygląda na trzydziestolatka. Na palcu nie ma obrączki.

– Tak?

Słyszą skrzypnięcie zawiasów. Spoglądają w stronę otwierających się drzwi, lecz żarówka nagle gaśnie.

– Czekamy na pana – dobiega ich w ciemności.

W drzwiach pojawia się twarz drugiej dziewczyny. Jakub zwraca uwagę na burzę ciemnych kręconych włosów, oświetlonych nieco upiornym światłem świecy trzymanej w dłoni.

– O, dobrze, że jesteś – wtrąca Iza, odchodząc od lustra. – Ja jestem tutaj – rzuca, zakładając szalik – w zastępstwie za koleżankę.

– Właśnie – dodaje brunetka. – Musiałam wyjść.

Wiatr za oknami jeszcze przybiera na sile. Słyszą, jak przeraźliwie wyje i gwiżdże. Gdzieś ciągle skrzypi jakieś żelastwo. Zapalające się nagle światło oślepia zebranych, bo oczy już przyzwyczały się do ciemności. Chwilę później żarówka przygasa, a kiedy podnosią wzrok ku lampie, ta znowu zaczyna świecić.

3.

Kilkadziesiąt lat wcześniej, pewnej sierpniowej nocy, pięćset kilometrów dalej ostatnie krople deszczu dosięgają ziemi. Niebo jaśnieje, a powietrze staje się świeże i lekkie – jakby przepraszało za to, co zrobiło, i zastanawiało się, czy to już koniec opadów, czy tylko zawieszenie broni. Tymczasem maszyna przechyla się na lewe skrzydło. Pilot wyrównuje krótkim ruchem. Skupia się na utrzymaniu prędkości i kursu. Sterownica drży pod palcami, kabinę spowija oświetlenie bojowe.

– Jest kurs zrzutu! – słyszy lotnik przez radio. – Cel za minutę!

B-24 Sił Powietrznych Armii USA o numerze 191 leci zaznaczyć cel. Każdy z czterech silników pracuje równo, niczym dobrze naoliwiona maszyna do szycia. Widoczność jest doskonała, pilota dziwi, że Niemcy zaczynają stawiać zasłonę dymną dopiero teraz, kiedy amerykańskie samoloty są już nad celem. Obrona artyleryjska milczy. Brak nocnych myśliwców. Ani jeden reflektor nie maca nieba. „To dobrze” – myśli lotnik. Na srebrnym kadłubie odbija się księżyc.

– Pół minuty! – mówi dowódca. – Otworzyć drzwi bombowe.

– Luki otwarte – trzeszczy interkom.

„Sześćset maszyn” – myśli pilot. Ludzie w dole, przyzwyczajeni do bombowców latających tym szlakiem na Berlin, nie zwracają uwagi na wyjące syreny. Za chwilę będzie tu piekło.

– Dziesięć sekund! – brzmi głos dowódcy. – Dziewięć, osiem, siedem... – liczy, nie odrywając oczu od przesuwającej się pod nimi ziemi.

Pilot zaciska palce na sterownicy. Strzelcy zagryzają usta.

– Teraz! Wszystkie poszły!

Ale nie bomby: zrzucili markery, które teraz rozbłyskują w dole kolorowymi światłami. To znak dla pozostałych.

– Wszystkie weszły – słyszy pilot po chwili. – Kieruj się na kurs powrotny.

Liberator kładzie się na skrzydło, błyskawicznie reaguje na stery, niczym myśliwiec. Przed nimi drugi etap.

– Jezu! – odzywa się tylny strzelec.

– Co jest?

– Panie poruczniku! – odpowiada. – Wyspa zaraz zapadnie się w morze!

– Co się dzieje?

– Aż faluje pod eksplozjami. Zaraz rozsypie się na kawałki i zniknie z powierzchni.

– To dobrze. Mniej naszych zginie.

Sądzą, że bombardowali „zakłady przemysłowe wytwarzające aparaturę dla obrony przeciwlotniczej”, lecz się mylą. To najnowocześniejszy tajny instytut badawczy. Na decyzję o jego budowie wpłynęła lokalizacja: bliskość morza pozwala na dyskretne próby. Są tam lotnisko, bocznica kolejowa, fabryka nadtlenu wodoru, służącego jako utleniacz paliwa raketowego, i elektrownia węglowa niezależna od krajowego systemu energetycznego.

Hitler, początkowo niezainteresowany badaniami prowadzonymi w tym miejscu, zmienia zdanie po klęsce Rommla w Afryce i Paulusa na Wschodzie. Gdy szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę aliantów, te eksperymenty stają się priorytetem. Wódz III Rzeszy zaczyna pokładać w nowej broni nadzieję, której będzie się trzymał do końca kwietnia czterdziestego piątego roku. Wierzy, że cudowna broń zdoła przechylić szalę na stronę Wehrmachtu.

Tej nocy na Peenemünde spadnie dwa tysiące bomb. Rankiem, kiedy dopalą się zgłiszcza, wszędzie będą leżały trupy i fragmenty ciał. Wielu odniesie ciężkie rany. Zginie ponad siedmiuset ludzi. Najważniejsi, w tym pierwszy człowiek projektu – doktor Wernher von Braun, przeżyją.

4.

Po śniegu, deszczu i wietrze pozostaje wspomnienie. Znika natychmiast, kiedy Jakub, podchodząc do okna, dostrzega na horyzoncie pas górski. Staje nagi

przed lustrem. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt osiem kilogramów, szczupła budowa ciała. Bez tłuszczu, dzięki wegetariańskiej diecie. Oczy zielone, włosy jasne, odrobinę niesforne. Szeroka blizna na prawej piersi, jeszcze z dzieciństwa.

Mężczyzna się goli, po czym zakłada na szyję krzyżyk na srebrnym łańcuszku. „Już późno” – przemyka mu przez głowę, gdy stawia kroki na schodach.

– Widzę, że nie jest pan rannym ptaszkiem?

– Ostatni raz spałem tak chyba w kołysce – odpowiada Paulinie. – Jakub jestem.

Dziewczyna unosi brwi. Po chwili uśmiecha się i przytakuje ruchem głowy.

– Tramwajów nie ma, samochody nie trąbią... A właśnie: zostawiłem swój na ulicy. Macie tu parking? Najlepiej strzeżony.

– Pana opel jest bezpieczny – odzywa się nieznajomy.

Siedzi na kanapie, w mundurze gliny. Przez chwilę milczą, Jakub czuje, jak ogarnia go dziwne, nieprzyjemne uczucie.

– Znam tu każdego cwaniaczka – mówi policjant. – Większych zbirów pan nie uświadczy. –

Takie same oczy i czarne, choć przyprószone siwizną włosy zdradzają podobieństwo do Pauli. Mężczyzna w wyprasowanej koszuli ma wąsy, czarne jak krucze pióra. – Wszyscy w mieście jeszcze dzisiaj będą wiedzieli, żeby tego auta nie tykać.

– To mój tata – informuje dziewczyna.

– A ja jestem mamą Pauliny – słyszą mocny głos zza ścianki z kluczami. – Już idę.

Glina unosi wzrok ku sufitowi. Kobieta, która właśnie do nich podchodzi, zaskakuje pięknym porcelanowym półmiskiem pełnym kawalców sernika.

– Miło mi poznać – gość schyla głowę. – Jakub Wróblewski.

– Modrak Helena.

Wiek: niewątpliwe czterdzieści plus. Co ciekawe, brak podobieństwa do córki. Może poza wzrostem i głosem, lecz nie tuszą, bo Helena to baba w każdym calu, a raczej kilogramie.

– Henryk Modrak – teraz to glina podaje prawicę. – Podkomisarz. Podobno zamierza pan pisać o naszym miasteczku? – pyta, badawczo przyglądając się Jakubowi. Ścisną jego dłoń niczym w imadle, ale jest niewielkiego wzrostu. W zestawieniu z żoną sprawia wrażenie drobnego człowieczka. – Zauważył pan coś dziwnego w nocy?

– Henryk! – huczy kobieta. – To nie komisariat! Pan Jakub – dodaje z uśmiechem – sam ci powie o książce, jak zechce.

– Niczego nie zauważyłem. A książka to nie tajemnica. Zresztą to wcale nie książka.

– Proszę się poczęstować, sama upiekłam. Nie będzie pan przecież mówił z pustym żołądkiem.

– Bardzo dziękuję. Z chęcią, bo jestem głodny jak wilk. A właśnie: czy jest tu lokal, gdzie mógłbym się żywić? Bo...

- Pokażę ci – dziewczyna nie pozwala dokończyć.
- Opowiesz mi o tej książce.

Jakub spogląda na pozostałe porcje sernika. Nagle przerywa jedzenie: wzór na talerzu, widoczny w miejscu odsłoniętym przez rozplywający się w ustach kawałek ciasta, jest zaskakująco znajomy.

– Czyli mówi pan, że niczego nie widział ani nie słyszał? W nocy spłonęła stodoła w sąsiedniej wsi. Miałem nadzieję, że coś pan zauważył – nie daje za wygraną Modrak.

5.

Kiedy tamci, w hotelu, są już po śniadaniu, Paulina z Jakubem schodzą do rynku. Ulica, opasająca starówkę nierównym pierścieniem, stromo opada w dół. Słońce przygrzewa, po śniegu zostały kałuże i błoto.

– Możesz zacząć od książki o tej dziurze – mówi dziewczyna.

- Dlaczego dziurze? Zresztą: nie będzie o niej.
- Jak to?
- Bo to nie książka.
- Więc co?
- Praca naukowa.
- Zwariowałeś? Tutaj? O czym?
- O legendach, podaniach i tego typu historiach funkcjonujących w świadomości mieszkańców Sude-tów – kłamię jak z nut.
- Do czego ci to potrzebne?

Jakub nie chce mówić prawdy. Nie może. Poza tym sam nie jest jej pewny.

– Chciałbym awansować – zmyśla. – Takie prace jak ta są mi potrzebne. No i w pewnym sensie to moje hobby.

– Pisanie?

– Poznawanie nowych miejsc. Pisanie to efekt uboczny.

– Ja też bardzo to lubię. Tylko nie mam czego poznawać.

– Zawsze jest coś nowego. Choćby historie odwiedzanych miejsc.

– Z historii też byłam bardzo dobra. Już w podstawówce. W liceum też.

– Dlaczego nie poszłaś na studia?

– Zwariowałaś? Na studia? – prycha dziewczyna. – Nie dziw się, że mówię „dziura”.

– Niby dlaczego?

– Bo studia są dla facetów.

– Co masz na myśli?

– Ktoś musi się zająć hotelem, kiedy rodzice się zestarzeją. A ja mam znaleźć męża wśród miejscowych pijacków i zmieniać pieluchy.

– Przecież pieluchy nie pobrudzą dyplomu.

W kwietniowym słońcu oczy Pauli wydają się jeszcze ciemniejsze. „Jest w nich coś pociągającego” – myśli mężczyzna. Kiedy jej kręcone włosy rozwiewa wiatr, budzą się w nim dawno uśpione pragnienia. Towarzyszy im jakiś niepokój.

– Rodzice wiedzą, że jeśli wyjadę, to już nie wrócę.

– Dlaczego?

– Mówiłam ci: lubię historię. Wygrywałam konkursy o tym miejscu. Ono nie ma przyszłości. To zawsze była dziura. I tak zostanie, bo brak tu perspektyw. Kiedyś było lepiej, ale dziś nie jest dobrze. Za kilka lat zostaną tylko starcy.

– A turystyka?

– Zwariowałeś? To hasło dla burmistrza i radnych. Nic się nie zmienia. Po co ludzie mieliby do nas przejeżdżać? To nie Karpacz.

– Ciagnie cię w świat?

– Jak wszystkich. Dwa lata temu zdałam maturę. Powinnam być w Krakowie, Gdańsku albo Wrocławiu. Nie tutaj.

Jakub przystaje. W pewnym sensie ona ma rację, choć różnią ich punkty widzenia. Przybysz zerka na biały dom w pruskim stylu, tak inny od kamiennych murów.

– To Dom Kata – wyjaśnia Paula.

– Uhm.

– Mówiłeś, że jesteś nauczycielem. Czego uczysz?

Jakub nie chce wiele mówić o sobie. Rodzi to niebezpieczeństwo, że będzie musiał klamać, a woli tego uniknąć.

– Mówiłeś o legendach... To może historii?

– Blisko – uśmiecha się do niej. – Prawie zgadłaś. Jestem historykiem.

– Ale?

- Akademickim. Uczę studentów.
- Mogłabym być twoją studentką?
- Czemu nie.
- Kurczę! Ale jaja – ta informacja zrobiła na niej wrażenie. – Muszę powiedzieć Izie! Czyli musisz mieć tytuł naukowy.
- Jestem doktorem.
- Zwykłym czy habilitowanym?
- Zwykłym, dopiero planuję habilitację. Po to ta praca o legendach. Zadajesz dużo pytań, wiesz? A to ja przyjechałem, by pytać.
- Przyzwyczajaj się. Zresztą: wszystkiego o tych okolicach możesz się dowiedzieć z książek.
- To, co jest w książkach, już wiem. Szukam tego, co wiedzą ludzie. A potem wykluczę przekłamania.
- Jak?
- W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, ale te opowieści przekazywano przecież z pokolenia na pokolenie. Ktoś coś dodał, zmyślił, ubarwił. Z czasem powstały niesamowite historie.
- Niesamowite historie? Brzmi jak dialog z horroru – śmieje się Paula. – Ale wiesz co? To dobry pomysł. Bo praca naukowa kojarzy się z zadaniami, wzorami, datami. A tu taka niespodzianka. Miłe.
- Uhm... Legendy zwykle dają się tak wytłumaczyć, że nabierają sensu.
- To w ogóle możliwe?
- Zaraz ci udowodnię.
- A to ciekawe.

- Weźmy twój Dom Kata. Co o nim wiesz?
- Mieszkał w nim kat – dziewczyna wzrusza ramionami.
- To nie jest pewne.
- To skąd nazwa?
- Budynek jest zbudowany inaczej niż pozostałe. Wyróżnia się.
- No to co?
- Poczekaj. Po drugiej stronie ulicy – Jakub wskazuje ręką – jest żydowski cmentarz, tak?
- A co on ma wspólnego z katem?
- Zaraz zobaczysz. Dalej jest kościół, prawda?
- Uhm.
- Komuś mogło się kiedyś wydawać, że to dość niesamowite miejsce, no nie?
- Mogło – przyznaje Paula. – Choć to o niczym nie świadczy.
- Ale byłoby to dobre miejsce dla kogoś takiego jak kat?
- Pewnie tak.
- Owszem, tym bardziej że tutaj – Jakub celuje palcem w bramę kamiennych murów obronnych – wieszano.
- Wieszano? Jak?
- Normalnie, na szubienicy.
- No, ale za co?
- Za szycję. Tyle że wcześniej niż powstał Dom Kata. Poza tym kat tu nie pracował. Co jednak ważne, mieszkaniac tego domu sprzedawał *Armensünderfett*.

– Co?

– Smalec ze skazańców.

– Makabryczne.

– Tak. A teraz posłuchaj: dom wygląda dziwnie, stoi obok miejsca, gdzie wieszano ludzi, cmentarza i kościoła. Mieszkał tu człowiek handlujący rzeczami skazanymi. Sprzedawał kawałki ubrań ofiar jako amulety i ludzki tłuszcz. A kat z Otmuchowa był jego szwagrem. Już wiesz, skąd nazwa „Dom Kata”?

– Myślisz, że tak było naprawdę?

– To jedna z hipotez. Kat oprócz zabijania miał inne obowiązki: zajmował się przesłuchiwaniami i torturami, wymierzał kary, zwoził z miasta padlinę. Jako jeden z nielicznych mieszczan odebrał wykształcenie. Musiał się przecież znać na anatomii, prawda?

– Fakt.

– Więc nastawiał złamania. Z czasem przyszło mu wylapywać bezpańskie psy i koty. Ale wtedy, nawiasem mówiąc – Jakub mruży oko – prowadził też miejski dom uciech.

– Rozumiem – potakuje dziewczyna i się rumieni. – A właśnie, przepraszam za ojca.

– O co mu chodziło?

– Nienawidzę go – Paula przewraca oczami. – To glina! Nawet w domu.

– Chcesz powiedzieć, że podejrzewa mnie o podpalenie?

– Zwariowałeś? Skąd ta myśl?

– Nie wiem – Jakub wzrusza ramionami. – Tak to zrozumiałem.

– Och, daj spokój. On zawsze pyta. Nie byłby sobą, gdyby tego nie robił. To choroba zawodowa – dziewczyna kreśli palcem kółeczko nad czołem i wymownie pochyla głowę. – Nie przejmuj się.

Wchodzą na rynek, przystają na wybrukowanym chodniku. Na zachodzie widać wąską ulicę z kamieniczkami z lewej i rudą z prawej. W tle jasna wieża Bramy Kłódzkiej. Mężczyzna wpatruje się w majaczący daleko, jak tło na widzianym wcześniej obrazie, ciemnozielony łańcuch górski. „Z hotelowego okna widziałem to inaczej” – myśli, nie wiedząc jeszcze, że góry mają też mroczną stronę i są pełne makabrycznych sekretów.

– A nie byłoby ci żal tych widoków? – zagaduje.

– W życiu nie ma nic za darmo, prawda?

Jakub spogląda na dziewczynę. Po chwili odwraca wzrok i widzi w oknie staruszkę ubraną na białą, która – obierając nożykiem jabłko – uważnie mu się przygląda. Do tego nie daje mu spokoju sprawa talerza. W mężczyźnie budzi się bliżej nieokreślony, tajemniczy niepokój.

6.

Czerwcowy dzień jest ciepły, lecz nie upalny. Wiatr od gór przyjemnie chłodzi twarz, kiedy wspinają się z plecakami. Dobrze się przygotowali: mają deskę, w

której rozgrzanym gwoździem wypalili alfabet i cyfry, od zera do dziewięciu.

– Tu, w rogach – mówi Genek – jest jeszcze miejsce, nie? A może byśmy wypalili jeszcze dwa słowa, co?

Cała trójka spogląda z wyczekiwaniem na Kazika, on zaś milczy. Zainteresował się tym pomysłem za sprawą niemieckiej książki. Zwróciła jego uwagę, gdy myszkował na strychu. Na czarnej skórzanej oprawie miała wyciśnięty złoty krzyżyk.

– Z prawej wypalisz „tak” – instruuje – a z lewej „nie”. Wypal też „być może” na dole i „nie mogę odpowiadać” na górze.

Gdy dwa tygodnie wcześniej dostrzegł tę datę, zapłonęły mu oczy. Tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden. „Prawie stuletnia książka – pomyślał – to dopiero coś! Niech tylko pokażę chłopakom!”. A potem kumple zapalili się do jego pomysłu. Sceptyczny pozostał Władeczek. Ale on, najmłodszy z wrocławskiego podwórka, a do tego o głowę niższy od reszty, wołał się nie odzywać.

Docierają na górę przed zmierzchem. Mają namiot i świece. Gdy niebo przebarwia się na purpurowo, obozowisko mają gotowe.

– Będzie wiało dziś w nocy – zapowiada Franek.

– Bredzisz. Lepiej pomóż, bo może być chłodno – rzuca Kazik, łamiąc gałęzie.

Władeczek spogląda na kij wbity w świeżą ziemię i wzrusza ramionami. „Niech będzie” – myśli, zabiera-

jąc się do układania kamiennego kręgu z paleniskiem w środku.

– A tutaj go wywołamy – mówi do Franka.

– Czemu chcesz tak daleko od ognia, i to za kamieniami?

– Nie będzie nas gryzł dym, a jasno i tak będzie – Kazik najwyraźniej na wszystko ma odpowiedź. – Za kamieniami nie będzie wiało. Nie zdmuchnie nam lampy.

Dokładnie to zaplanował, ale też okłamał przyjaciół.

Przez jego grzech dwaj z nich przed chwilą ostatni raz patrzyli na słońce. Tymczasem ognisko, rozpalone przez najmłodszego, płonie, trzaskając szczapkami pełnymi żywicy.

– Uuu! – niesie się po dolinach. – Uuu! – coś złowieszco dudni obok.

– Co to? – Władeczek się kuli. – Słyszeliście?

– No pewnie. To tylko sowa – uspokaja Kazik. – Boisz się, durniu, zwykłego ptaka?

– Nie takiego zwykłego. Dziadek opowiadał, że sowy czują śmierć.

– To tylko ptaki. Puknij się w łeb, głupku.

Tablicę ouija układają na stosie płaskich kamieni, wychodzi z tego całkiem udany stolik. Franio chwali się talerzykiem z wyszczerbioną krawędzią, zwędnionym ze stołówki.

– Uuuu! – wyje puszczyk siedzący przy pniu świerka. – Uuuu!

Chłopców po kręgosłupach przebiega dreszcz. Ptak wypatruje ciem wokół ogniska, oni zaś myślą, że są gotowi. Ale na to, co wkrótce ich spotka, nie sposób się przygotować.

Kazik dorzuca gałęzi do ognia. Wolalby, aby ogień się palił, kiedy skończą. Tym bardziej że żaden z nich nie ma pojęcia, jak długo to potrwa. Są zdenerwowani, lecz tego nie okazują. Cholerny puszczyk ciągle rozdziera dziób.

– No, chłopaki – rzuca Kazik. – Już.

– Północ minęła?

– Minęła – pokazuje zegarek. – Siedem minut temu. Możemy zaczynać.

– Sekundnik ci nie chodzi – zauważa jeden z kumpli nie bez satysfakcji, bo chłopak zwykł przy każdej okazji chwalić się prezentem od bogatego ojca. – Może nie nakręciłeś?

– O, cholera, rzeczywiście. Nieważne. Wskazuje siedem po, czyli jest już jutro.

Odmawiają na klęczkach modlitwę. Kilkanaście kroków za nimi ognisko trzeszczy, trawiąc drewno. Rozpalają lampę i siadają. Ciepły blask oświetla ich twarze. Palce opierają na brzegu talerzyka, stopy na ziemi.

– My, zebrani tutaj – zaczyna Kazik – przywołujemy ducha.

Usta pozostałych wykrzywają się w uśmiechu, ale poważnieją pod karcącym spojrzeniem mistrza cere-

monii. Przestrzegł ich wcześniej: w książce wyraźnie napisano, że należy traktować tę sprawę poważnie.

– My, zebrani tutaj, przywołujemy ducha. Duchu – szepcze Kazik – jeśli jesteś w pobliżu, przybądź!

„Ciekawe, cholerny ptak ucihł. Może odleciał do swoich spraw?” – zastanawia się Włodek. Otacza ich cisza nocnego lasu, słychać tylko żerujące zwierzęta. Świerkowe gałązki się nie poruszają, w dali słabo migoczą światła rozrzuconych z rzadka wsi i miasteczek.

– Duchu! Wzywamy cię!

Chłopak na chwilę zawiesza głos. Patrzą na siebie. Krąg światła lampy migocze na ich jasnych twarzach. Widzą, że każdy ma pietra, ale nic się nie dzieje.

– Duchu! Wzywamy cię! Przybądź!

– Może źle to robimy? – Franek chyba już się zniechęcił.

– Wszystko jest tak, jak było w książce. Nie wiem, dlaczego duch nie przychodzi.

– Może trzeba go wywołać po imieniu?

– Zamknij się!

– Robi się zimno – wtrąca Włodek.

I nagle wstrząsa nim dreszcz. Pozostała trójka natychmiast to czuje. Przerażeni, spoglądają na kolegę. Tymczasem wokół nich robi się jeszcze ciszej. Lampka naftowa skwierczy, w ogniu pali się ćma. Czują, jak przestrzeń gęstnieje, cichnie, czeka niczym zwierzę gotowe do skoku.

7.

Patrząc na dziewczynę, Jakub myśli, że kiedyś bardzo lubił swoje zajęcie. Ta praca ma przecież dobre strony. Tyle że już na początku tak zwanej kariery stanął na rozdrożu: niewytłumaczalna duchowość przeciwko nauce. Jednego z drugim nie sposób pogodzić. Jako nauczyciel akademicki, doktor nauk społecznych, pozostawał wierny wiedzy. A jednocześnie po drugiej stronie barykady spotykał się z tym wszystkim, co tłumaczyć miał Bóg.

– Wspomniałaś o krzyżu? – spogląda Pauli w oczy.

– Co miałaś na myśli?

– A jesteś wierzący?

Mężczyzna się uśmiecha. Pytanie retoryczne... Dziewczyna ma prawo pytać, choć dawno go nie pytano o coś równie oczywistego. Tak, wierzy, w Kościół na pewno, ale czy w Boga?

– Owszem. Nie wyobrażam sobie życia bez wiary – odpowiada. – A ty?

– Wierzę – mówi Paulina. – Nie jestem szczególnie religijna, mimo to chodzę do kościoła. W takich miejscach nie można inaczej, ja jednak wierzę dla siebie.

– Rozumiem.

– I w krzyż w Kamienicy też wierzę.

– W co? – pyta Jakub, jakby nic o tym nie wiedział.

– Myślałam, że słyszałeś: we wsi pod Paczkowem na krzyżu pojawił się krwawy napis. Sensacja na całą Polskę. Byłam tam po tym, jak go zauważono. Obok stało kilka zniczy, teraz są setki. Mówią, że to znak.

– Znak?

– No wiesz, od Boga. Objawienie, jak Fatima czy Medjugorie. Dlatego coraz więcej tam ludzi. I jeszcze ta stodoła.

– Wierzysz w to?

– Przyjrzałam się, wygląda jak krew.

Ileż razy widział podobne przypadki! Na początku chciał wierzyć. Starał się łączyć religię z nauką, ale zrozumiał, że to nie ma sensu. Przekroczywszy trzydziestkę, poddał się fali, która poniosła go na obszary, gdzie Bóg nie miał już nic do powiedzenia.

– Twój ojciec myśli, że ktoś z przyjezdnych podpalił tę szopę?

– Nie o to chodzi. W pogorzelisku znaleziono jego teścia.

– Co?

– W pożarze zginął mój dziadek. – Paula unika wzroku Jakuba. – Ojciec mamy.

– I mówisz to tak po prostu, bez emocji?

– Zwariowałeś? Pewnie, że mi smutno, ale nie utrzymywaliśmy kontaktu.

– Dlaczego?

– Nie wiem – dziewczyna wzrusza ramionami. – To zawsze był temat tabu.

– A próbowałaś o tym rozmawiać?

– No pewnie. Mama się rozplakała. Nie pytałam więcej. Dużo o tym myślałam, potem się przyzwyczaiłam. Najgorzej było podczas wigilii – wzdycha. – Myśle, że mama wstydziła się swojego ojca.

8.

Pierwszego i drugiego dnia jeździ po okolicznych wsiach. Zwiedza kościoły, ale nie zbliża się do Kamienicy, gdzie krzyż ma płakać krwawymi łzami. W Lisich Kątach znajduje czterystuletni zespół dworski z basztą, spichlerzem, gołębnikiem i kaplicą. Po czeskiej stronie ogląda zamek, potem w Gościcach i Złotym Stoku odnajduje stare strażnice WOP. Przy okazji zwiedzania sztolni w Złotym Stoku trafia na nieczynną stację kolejową. Jego zainteresowanie wzbudza fakt, że prowadzi od niej kilka bocznic w różnych kierunkach. Jak się okazuje, jedna wiodła do kopali arsenu, druga – do fabryki farb, a trzecia – do kamieniołomów. Co ciekawe, w miejscowej bibliotece Jakub trafia na mapkę, na której odnajduje czwartą nitkę, ciągnącą się w kierunku granicy z Czechami, gdzie ślad się urywa.

– Piękne te twoje góry – stwierdza, gdy spotyka się z Paulą wieczorem.

– Czasem zastanawiam się, czy nie będzie mi ich brakować.

Stoją na Wieży Wrocławskiej, którą za dwa złote udostępniono im do zwiedzania. Oglądają panoramę krzyżujących się ulic. W dali rysują się sennie szczyty Gór Opawskich, Złotych i Bardzkich.

– Może nie będę chciała pamiętać tego, czego ty teraz nie widzisz.

– Co masz na myśli?